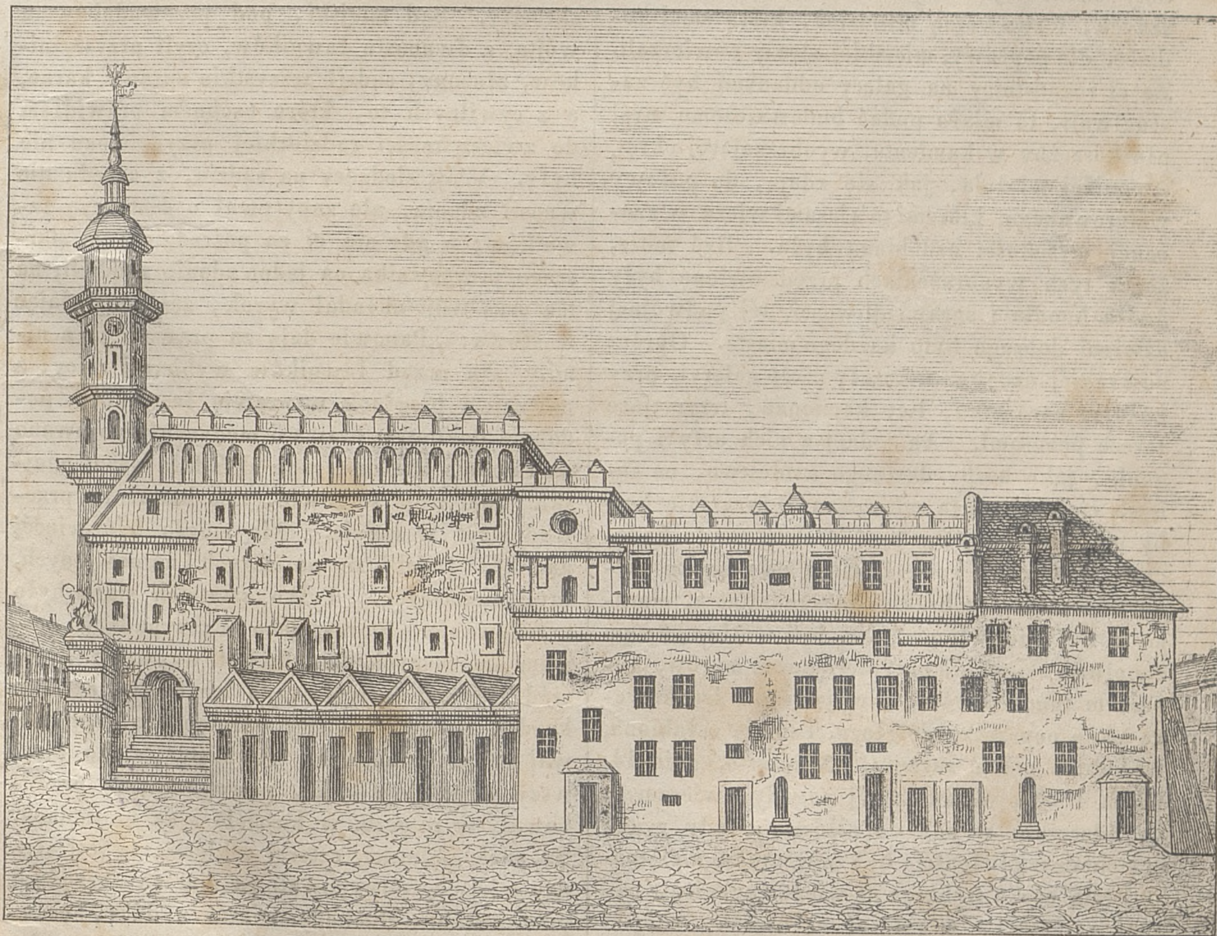
Nr. 2. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 9. Stycznia 1847.*



Widok dawnego ratusza we Lwowie, rozebranego w roku 1826.

Dawny dom radny, czyli ratusz we Lwowie.

Każde dzieło człowieka służyć może za miarę jego umysłowych zdolności. Dla tego z ciekawością zbieramy wszelkie pomniki, że po nich poznajemy ludzi, co żyli przed nami. Do pamiątek, które nas bliżéj obchodzą, policzyć można dawniejszy dom radny, czyli ratusz we Lwowie, w Nrze 43. Przyjaciela ludu z dnia 28. Kwietnia 1838 r. wspomniany. Był zbudowany w ostatnim roku szczęśliwego panowania Kazimierza Jagielończyka. Okazuje to napis znaleziony na poprzecznym kamieniu: „Hans Blecher anhob des Bau 1491." Wieża była pierwotnie czworoboczną. Gdy w roku 1616. od pożaru znacznie uszkodzoną została, Marcin Kampianus, sławetny rajca Lwowski, wyżéj ją podniósł, i na ośmiobok przeistoczył. Do roboty około téj wieży używał więźniów ratusznych, i swawolną młodzież, którą sami rodzice, dla poprawy, miejskiéj straży powierzali. Że ci rozpustnicy na galery oddanymi być zasługiwali, to miało podać budowniczemu myśl płaskorzeźby w kamieniu, wyobrażającéj okręt, a poniżéj więźnia, jak się zdaje, do połowy wmurowanego, któremi to ciosami wieża w znacznéj wysokości ozdobioną była. Być może, że w tych wyobrażeniach przedstawione były godła handlu i sprawiedliwości, téj podwójnéj dźwigni dobrego bytu każdego miasta. Oprócz powyższéj ozdoby, sterczały niżéj galeryi, przy każdym narożniku, lwy kamienne, trzymające tarcze pazurami. Na jednéj z nich orły i pogonie, jako herby dawnego królestwa, na innych ciosane godła mieszczan i rycerskie herby mężów, pod ów czas u stéru rządu będących. W takiéj postaci wieża na rysunku wyobrażona, po rozebraniu starego ratusza, murami nowéj budowli podpartą być miała, gdy po zupełném zniesieniu przypierających murów, kopaniem fundamentów, i wyjęciem z środkowego okna poprzecznego głazu, istotnie osłabiona, widocznie pękać zaczęła. Nareszcie, dnia 14. Lipca 1826., wśród jasnéj pogody, wieczorem po uderzeniu w pół do siódméj, gdy rynek przechodzącą ludnością był zapełniony, a piętnastoletnia córka trębacza na wieży, uderzenie zégara piszczałką z galeryi ogłaszała, miejski budowniczy, nazwiskiem Kawka, postrzegłszy szczeliny nagle wzrastające, ostrzegał donośnym głosem o zbliżonym upadku. W mgnieniu oka odbiegli kramów swoich przekupnie, a fundamentów nowego ratusza robotnicy. Tymczasem wieża, pękając i chwiejąc się widocznie, osiadała powoli, aż runąwszy z łoskotem, mieszkańców przestrachem, a powietrze od gęstego pyłu, ciemnością zapełniła. Oprócz wspomnionéj córki trębacza, trzymającéj w ręku nieszczęsną piszczałkę, wydobyto z gruzów kilka trupów męskich, a między niemi żołnierzy, co w téj stasznéj godzinie, galerye wieży za miejsce przechadzki obrali. Ciosowe kamienie, o których powyżéj była mowa, obecnie dla ozdoby spacerów na zamkową górę wywiezione, długo jeszcze będą pomnikiem starego ratusza i ważnych wypadków w nim zdarzonych. Z tego to gmachu w owym czasie, gdy magistratowi służyło prawo miecza na mieszczan, wychodziły owe straszliwe wyroki, co, dla ukarania zbrodni, nie jedno życie w saméj pełni skróciły. Sąd miejski, pod przewodnictwem wójta, z dwunastu ławników, czyli przysiężników, złożony, sądził wszystkie sprawy karne, a z cywilnych te, które osobném prawidłem do zwierzchności radzieckiéj przydzielone nie były. Wójt siedzący na sądzie, z urzędu nie wnosił zdania, ale zapytywał o sentencyą ławników; a gdy się ci za pośrednictwem starszego przysiężnika na jedno zdanie zgodzili, na ten czas wójt układał wyrok, zawsze dodając te słowa: „Panowie dają za prawo i ja z nimi." Na urząd ławników wybierali rajcy; a nawzajem biegłych w prawie ławników, podobnie doktorów prawa i medycyny, posuwano na rajców. Ława i rada składała senat miejski. Jak wójt w ławie, tak burmistrz przewodniczył w radzie. Nie mogło być więcéj nad 24. Dzielili się na starych i na nowotnych, czyli siedzących. Tylko ostatnich stałe było urzędowanie. Starzy, jeno w przypadkach prawem orzeczonych do rady byli wzywani. Z pośród siedzących wybierano ośmiu, z których każden koleją, według starszeństwa, sprawował urząd burmistrza. Burmistrz, jako pierwszy urzędnik miejski, powagą swoją przodkował, w ratuszu, w kościele i na biesiadach. Na znak godności, czterej ceklarze, to jest słudzy miejscy, postępowali za nim na obrzędach publicznych. Dochody miasta z dóbr, czynszów i podatków, były pod zarządem rady. Uchwały stanowiono większością głosów. We-

dług starego zwyczaju, zaraz po wyroku rajcy umywali ręce. Kuszenia, to jest appellacye od sądów miejskich, czyniono do sądów królewskich, assessorskiemi, czyli zadwornemi, zwanych. Senat miejski był głową, a właściwém ciałem miasta był lud. Ilekroć wymagała potrzeba wspólnego obradowania, zwoływano lud na ratusz uderzeniem dzwonka. Stałą reprezentacyą ludu stanowił wybór czterdziestu mężów, przed którymi urząd radziecki zdawał sprawę z czynności i rachunki z dochodów.

Uchwały rady zwano *senatus consulta*. Wspólne uchwały rady i gminu zwały się *wielkierze*. Starosta, jako urzędnik królewski, miał dozór, aby się miasto budowało i opatrywało w przyzwoitą obronę.

L. K.

Kilka słów o przekładzie Odyssei.

Przed parą laty umieściłem był w Orędowniku Naukowym przekład rymem szóstéj księgi Odyssei. Zaszczytne dla mnie zdanie znawców zachęcało do przedsięwzięcia całego przekładu; a lubo nadzwyczajna praca i inne zatrudnienia odstręczały mię od tego, jednak pociąg był tak wielki, że jeszcze wiele miejsc piękniejszych z tego arcyutworu przełożyłem rymowym wierszem. Przekonałem się w końcu, że mozół był wielki, a zasługa nie tak wielka; gdyż przekład rymowy zawsze psuł Homeryczną prostotę i zawsze oddalał się od wierności, a zdaniem mojém każda niewierność względem Homera, staje się przeniewierzeniem najwyższéj sztuce. Rozmyślając zatem, w jakąby formę najlepiéj ująć opowiadanie Homeryczne, doszedłem, iż nasz wiersz jedenastozgłoskowy, który daje się tak rozmaicie łamać, niczém nie psuł Greckiego tonu; tymkońcem więc rzuciłem się na przekład bezrymowy, odczytałem próby kilku znawcom, i przyznali pierwszeństwo ostatniemu usiłowaniu. Posunąwszy znacznie tę pracę, postanowiłem umieścić w niniejszym dzienniku, na próbę, pieśń pierwszą. Zamiarem moim jest, niebawem część Odyssei wydać na widok publiczny z ozdobnymi drzeworytami kompozycyi artystów obeznanych z Grecką starożytnością. Główne powody, jakie mię skłoniły do zajęcia się tym przekładem, obszernie wyłożę przy wstępie do dzieła, teraz tyle nadmienię: że piśmiennictwo nasze od bardzo dawna zerwawszy z tradycyonalną pięknotą Greckiéj sztuki, ograniczyło się na swoich własnych żywiołach, które prędko wyczerpawszy, a częstokroć źle wyczerpawszy, a gorzéj używszy, zaczyna od lat kilku widocznie słabieć, i jeszcze tak jakiś czas pozostawione, zgminiałoby, i stało się zupełnie jałowém. Przez zgminnienie nie rozumiem wcale dzieł pisanych przystępnie dla ludu; wiémy, iż te obok swojéj prostoty i naturalności, mogą być artystycznie piękne; mówię tu o tych utworach, które natchnienie czerpią z brudów i ułomności społecznych, które nie umieją malować tylko potwory i postacie chorowite, w których nakoniec zamiast wysokiego spokoju i powagi, tego piętna Greckiéj sztuki, przebija się ciągle stan gorączkowy, spazmatyczne drganie, a najczęściéj zupełny brak artystowskiego rozmysłu i pojmowania sztuki. Chcąc przyjść z pomocą w tym upadku, nie widziałem innego sposobu, jak przysłużyć się młodzieży naszéj przekładem Odyssei; który to poemat jest najpierwszym w świecie, jako wzór najwyższéj doskonałości, jako najoryginalniejsze i najzupełniejsze odbicie się jedynego geniuszu. Że nie mówię z przesadą, przekona się każdy, kto ten poemat odczyta; — radbym tylko, i to chęć moja najgorętsza, aby przekład mój potrafił nie tylko oddać wszystkie piękności wzoru, ale jeszcze stać się tak ponętnym Polskiemu czytelnikowi, iżby mu się zdawało, że patrzy na fidiaszowski posąg i przez żyłki marmuru widzi krążącą krew sławiańską. — Życzenie to może zbyt wymarzoném się wyda; dość, że pragnę sprostać temu w gorącéj chęci, a jeżeli nie sprostam, to przynajmniéj tyle dokażę, że Greków moich, tak okrutnie mordowanych po szkołach przez professorów i uczniów, cokolwiek do życia ocucę, a témsamém aby tyle zrobię przysługi, że te piękności duszone dzisiaj pod nawałem komentarzy i gramatycznych kombinacyi, otrząsną się ze szkolnéj śniedzi, i zadziwią rozumy i serca nieporównaną swą misternością i urokiem.

Na zawiązanie téj krótkiéj uwagi dodam jeszcze, że grubo się pomylili owi teoretycy i literaci, którym się zdawało, że świat Grecki, jak wypróżniona kopalnia drogich kamieni, nie jest już godzien zastanowienia; że nie warto

doń wracać, kiedy wszystko wybrane. Odpowiadam, że nie idzie mi o ślepe naśladownictwo, albo o przebieranie Greków w szatę Polską, ale o czerpanie wysokiego smaku, o rozważanie pięknoty w samém źródle; przecież wiemy, że malarstwo, w krajach, gdzie nieznano antyków, lub gdzie malarze żadnéj tradycyi nie mieli, nigdy wysoko nie poszło, i zawsze grzęzło w płaskiém i jałowém kopiowaniu natury. Czém jest większa część utworów piśmiennych dzisiaj, jeżeli nie kopiowaniem natury? Natura sama, bez boskiego ideału, musi skończyć, jak szkoła Flamandzka, na scenach pijackich po karczmach i jarmarkach, lub na krowach i koniach.

— L. Siemieński

Odyssei księga piérwsza.

Rada Bogów. Atena przestrzega Telemaka.



UZO, o mężu powiedz mi bywałym,
Jen, po upadku świętéj Troi, długo
W błędnéj podróży, ludnych miast bez liku
I obyczai napatrzył osobnych;
Więc i na morzu przez srogie opały,
Przechodził chroniąc własnego żywota,
I druhów swoich, by do dom wrócili.
Ale dla druhów na próżno się biedził;
Przepadli, własną swawolą pożyci!
Nie było głupcom zjadać wołów onych,
Co słonecznemu Bogu poświęcone;
Gniewny Bóg zgasił dla nich dzień powrotu!
A więc Bogini, córo Kronionowa,
Gwoli tych przygód i nam coś opowiedz.

Już wszyscy inni, co tam uszli cało,
Doma siedzieli wyrwawszy się wojnie,
I morskim toniom: a jego, co do się
I do małżonki tęsknił, aż usychał,
Trzymała w głębi swych pieczar Kalipso,
Nimfa, z niebianek wysokiego rodu,
I, swym małżonkiem mieć chciała koniecznie.
A choć dzień nadszedł w czasów kołowrocie
Co do Itaki, z boskiego przejrzenia
Miał go powrócić; jeszcze i śród swoich
Nie jedne trudy czekały nań doma.
Więc Bogom żal się zrobiło Odyssa;
Jeden Pozydon gniewem wrzał, aż póki
Tułacz nie stanął na rodzinnéj ziemi.

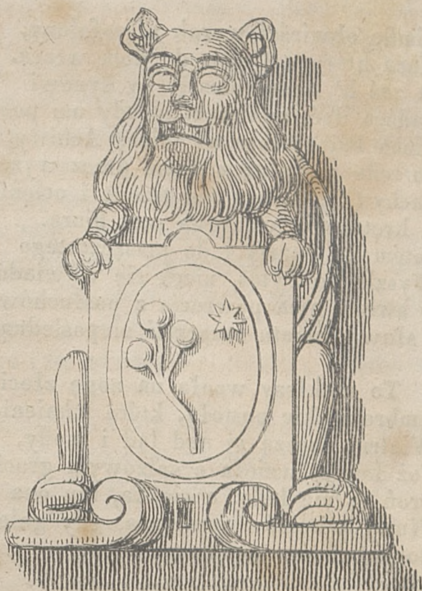
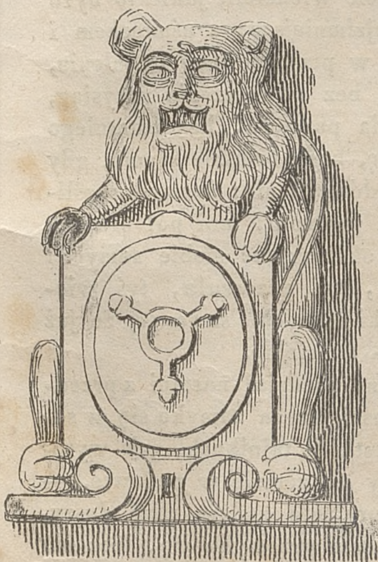
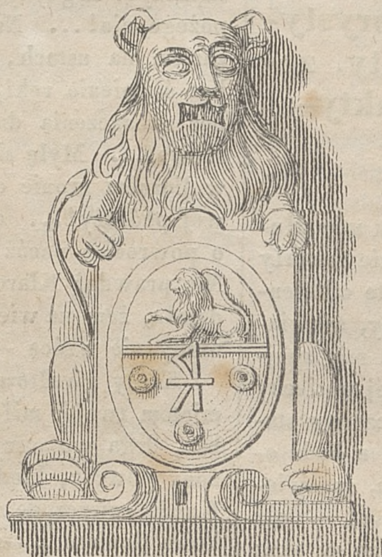
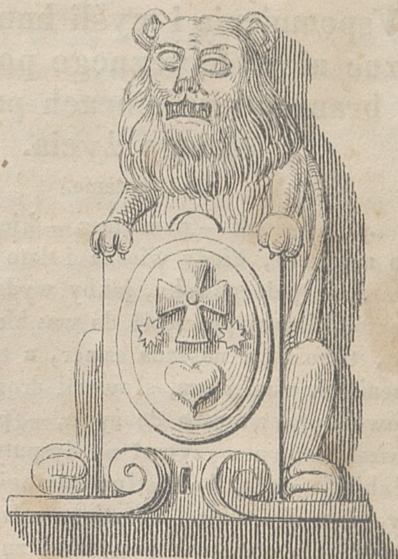
Teraz u Etyopów był Pozydon —
(Lud to najdalszy, w dwa rody rozpadły
Ku zachodowi słońca i wschodowi),
Tam, hekatombę z byka i barana
Przyjmując od nich, siedział, rad obiacie.
Reszta zaś Bogów na wiecy, w teremie
U Cewsa Olimpskiego.
Rzecz zagaił
Ludzi i Bogów ojciec; bo na myśli
Stanął mu właśnie był ów Egist gładki
Przez Orestesa, Agamemnowego
Syna, zabity; jego miał na myśli,
Gdy tak do Bogów gromady przemówił:

I ten ród ludzki ma czoło nas winić,
I wiecznie sarkać, że tylko z nas, Bogów,
Wszystko złe roście! jakby to nie sami
Ci półgłówkowie, w przekór przeznaczeniu
Przędli swą nędzę? Przykład na Egiście;
Wbrew przeznaczeniu, żonę Atrydową
Bierze do łoża, a męża zabija.
Wszakże był świadom wcześnie, co go czeka;
Bośmy z przestrogą słali doń Hermesa,
Czujnego Argobójcę, by nie sięgał
Ani po żywot męża, ni wstyd żony;
Bo z krwié Atrydów wyjdzie Orest mściciel
Gdy, jak młodzieniec, po działy ojcowskie
Przyjdzie kołatać. Tak Hermejas wróżył;
Lecz zdrowa rada poszła mimo uszu;
I Egist winę swą spłacił ryczałtem!

Na to mu rzekła Pallas lśniącooka:
Królów Władyko! ojcze mój Kronidzie!
Cóż, że ów warchoł wziął płatę za zbrodnie?
Wszystkim zbrodniarzom niechby na to przyszło!
Mnie gorzéj boli, kiedy sobie wspomnę
Nędzę Odyssa; — och! ileż to czasu
Jak on bez swoich usycha na wyspie
Morzem oblanéj i na mórz środkowiu.
Bogini, ustroń tę, drzewy zacienną,
Zamieszkująca jest córką Atlasa,
Owego umca, co morskie zna bezdnie
I słupy dźwiga sterczące od ziemi
Po strop niebieski. Ona to wciąż trzyma
Stęsknionego biedaka i wciąż pasie
Pochlebstwy, słówek pieszczotliwych miodem,
By tylko z myśli zbył ojczyznę. Ale
Odyssej pragnie bodaj dym zobaczyć
Błękitniejący gdzieś tam nad Itaką
I zaraz umrzéć. Czyż i w tobie niéma
Litości nad nim Olimpski mój ojcze!
Czyliż ci Odyss obiatował mało
U naw Argejskich, na szérokiém polu
Trojańskiém? Cewsie! i zkądże te gniéwy?

Na to Cews chmurowładny tak odeprze:
Jakież się słowo z twoich warg wymknęło,
O córo moja! jażbym mógł przepomniéć
O boskim Odysseju, o najmędrszym,
Co nam obiaty najbogatsze składał,
Nam, królującym na niebie szérokiém?
Lecz go Pozydon, ziemi opasywacz,
Mstą swoją ściga, za to, że Kyklopa



Lwy wyjęte z wieży ratusznéj we Lwowie.

Oślepił Polifema, Boga prawie
Najsilniejszego z wszystkich dziewięsiłów.
Z Nimfy Toosy Polifem się rodzi
Córy Porkynsa, księcia na pustkowiu
Gdzieś morskiém, którą w pieczar mroku, ongi
Zmógł był Pozydon. Owoż Bóg, co wstrząsa
Ziemią, nie pragnie Odysseja zabić,
Jedną wciąż pędzić w obłędną tułaczkę.
Nam więc przystało umówić się społem
O jego powrót, i zrobić by wrócił.
Sam też Pozydon ochłonie pomału;
Wzdy przeciw wszystkim sam się nie podejmie,
I woli nieśmiertelnych uledz musi.

Na to Atene lśniącooka: Ojcze
Kronidzie, królów udzielnych Władyko!
Jeśli to wdzięcznie święte Bogi przyjmą,
By do ojczyzny mądry Odyss wrócił,
Niech w skok Hermejas, Argobójca bieży
K' wyspie Ogigji, i niech przetowłoséj

Nimfie obwieści wyrok niecofniony,
Mocą którego Odyss do dom wraca.
Ja zaś k' Itace spieszę, by synowi
Bodźca dać, męstwem młody um poostrzyć,
Niech bujnowłose na wiecę Achiwy,
Co tchu powoła; z domu precz wyżenie
Gachy (*), którzy mu trzodę i ociężłe
A krętorogie woły na rzeź biorą.
Potém do Sparty i do piaszczystego
Wyszlę go Pylos, niech się wywiaduje
O swego ojca powrocie z posłuchów
I sławą świata rozgrzmi niepośledną.

To rzekłszy wzuła na nogę złociste
Ambrozyjskie postoły, które tchnieniem
Wiatru, unoszą ją nad ląd i wody,
Toż kopiję wzięła o spiżowym grocie;
Broń to nie lada, a ciężka, nią ona
Tłumy witeziów wywraca, gdy gniewem
Rozgore, córa potężnego ojca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wspomnienia i myśli humorystyczne niepraktycznego poety, zebrane po gościńcach praktycznego życia.

(Dokończenie.)

...A jednak — pamiętasz — kiedy mię długo nie było, kiedy wiosna i lato nie istniały dla mnie jednego roku, jakby wydarte z kalendarza, kiedym powrócił do was blady, osowiały, trwożliwy na lada szmer, a tyś mię spojrzeniami, uśmiechem, słowami drogiéj pociechy powoli przywracała do życia, — poczciwy staruszek znowu wyzywał na dysputy, a bądź osłabienie ciała, bądź stłumiony ogień, sprawiały, żem się więcéj do miary stósował — cóż ztąd? oto staruszek powtarzał ze łzą w oku: biedny chłopiec jak się odmienił! widziałem z jego twarzy, że mu żal było słyszeć mię stósującego się do miary, żal, jak twojéj kuzynce, żem jakoś w takt śpiewał, gdy w piersi tchu brakło! — ...

...Roskoszne to chwile odzyskanéj swobody! o niéj to można powiedzieć, co Jan z Czarnolesia śpiewał o szlachetném zdrowiu. Alež pytam, kiedy człowiek jest wolny zupełnie? pierwszy krok zrobiony za mury twojéj ciemnicy prowadzi cię do nowéj niewoli.

Człowiek ma zwyczaj mówić: oto żyłem dziś. A zapomina, że co dzień takie dziś umiéra. Czynność życia i śmierci jest zupełnie jednoznaczną, bo się w nowe życie odradza. Częstokroć życie zaczyna się dopiéro ze śmiercią, jak życie wielkich gieniuszów i myślicieli.

Gnijące ziarno mogłoby także mówić: Umieram! — a tymczasem ono żyć zaczyna.

Życie jest nieśmiertelne jak śmierć.....

. . . .

. . . . Krótkie chwile szczęścia, przemijające jak sen, jak sen niedogonione; ale za to jakże długo świécą w pomroku dni smutnych, tęsknych, odartych z ziemskich nadziei! Tyle razy żegnałem cię Klaro! i tyle razy witałem — jednak, na pożegnaniu musiało się skończyć! A gdybyście wiedzieli, jakie to było pożegnanie!... Najzimniejsze; z uśmiechem i żartem na ustach, w przyzwoitém oddaleniu, bez ściśnienia ręki, bez powtórzenia przysiąg, bez naznaczenia dnia powrotu, bez ostatniego słowa.... Mylę się, było ostatnie słowo, gdy w liczném gronie oddalała się: życzę szczęśliwéj podróży!... a powrotu? ani pół słówka o powrocie; nacóż okłamywać siebie samych? Nie prawdaż Klaro, tyś przeczuła, tyś wiedziała, żem na wieki dla ciebie stracony, że już nigdy nie wrócę — do ciebie.

Kiedy gwałtowny rozdział nastąpi z przedmiotem twojéj miłości, dusza zamyka się w sobie, drga we wszystkich tajnikach, jak wytężony powróz, kiedy się zerwie w połowie. — Każde zniszczone urojenie zadaje ranę duszy, która dopiéro z czasem przemyka się, lecz nie goi. Rany duszy, są jéj wspomnienia. Jak na kiju pielgrzymim opierasz się na nich i ruszasz w dalszą podróż po drodze życia.

...Poeta podobien jest gorejącemu krzakowi na górze Horeb. Choć krzaku nie widzisz, światłe promienie wytryskując z niego oświecają cię, a częstokroć zaślepią.

W tém całe szczęście poety, że nigdy nie jest opuszczony, nigdy sam. W myśli jego i pod piórem, ból przeobraża się w błogość, smutek w wesele....

Poeta niéma przyjaciół między ludźmi. Ludzie uważają go za instrument, z którego doby-

(*) Gach, wyraz Staropolski, oznaczający starającego się o rękę niewiasty; dzisiaj go zastąpił starający się konkurent i t. d., lecz nie odpowiada dawnemu znaczeniu gacha, a jeszcze mniéj Greckiemu μνηστής. Lubo ten wyraz dzisiaj zgminniał, cóż szkodzi przywrócić mu dawne jego poważniejsze znaczenie?

wają dźwięczne tony, lecz nieraz jaki niezręczny przyjaciel chcąc go podnieść, bierze go za struny. Struny pękają w ręku, instrument pada na ziemię i już na wiek wieków żegnaj się z harmoniją! Ludzie, zaklinam was, zostawcie poetę samemu sobie! Nie dotykajcie go; ani jednéj nuty nie umiecie wziąć na nim. Jeżeli w waszych rękach się nie strzaska, przynajmniéj nigdy do stroju nie przyjdzie.

Przyjaciołmi poety są: słowiki, słońce i pola.

Pozwoliłbym jeszcze gmin prosty, który go nie rozumie, a czuje i lubi... Pozwoliłbym i na kobietę, gdyby nie było na świecie zarozumiałych modnisiów i trzpiotów....

. . . .

. . . . . Cóż to jest owa ludzkość, o któréj tak wiele mówią i górnie piszą? Zdaje mi się, że to jak wielki obraz ręką mistrza namalowany. Tyle tam osobliwych, przedmiotów, z których niepodobna zdać sobie sprawy, a mistrz naznaczył je kilką tylko kreskami w chwili śmiałego natchnienia.

Mógłbym myśleć, że człowiek żadnego postępu nie zrobił, ale co ludzkość, wszyscy zaręczają, że codzień olbrzymim posuwa się krokiem.

Gdzie ten postęp? Muszę być ślepy, muszę nie znać znamion postępowych, albo téż nie godny cudu, nie widzę go....

Gdzie się obrócę: chleba! wołają. —

Ach! i mnie głód dokuczać zaczyna.... Cóż to się dzieje: wsadziłem ręce w kieszenie, szukam i wytrząsam sakiewkę — głucho!

Myśli poetyczna, myśli ognista, córko Boga! daléj do dzieła, stwórz łaknącemu kawałek chleba....

O nędzo! nędzo rzeczy ludzkich! myśl staje się bezpłodną, bez cielesnego pokarmu — a okruszyna chleba dźwiga z nicości to, co najpiękniejszego, najbardziéj boskiego w człowieku — myśl naszą. —

Nieszczęśliwyż to, upadły twór ów człowiek! Czemuż nie jestem jedną z lilij polnych, jednym z drobnych ptaszków, którym Pan Bóg obmyśla codzienną strawę?

Człowiek i nad nimi rozciągnął swą władzę; liliję polną uszczknie dziewczyna i da jéj zwiędnąć we włosach, na ptaszka sieci zastawią, i zamkną w klatce lub upieką!...

— Sameś sobie winien poeto! wołają dokoła — nie jesteś praktyczny. — Prawda! złota prawda! żyć duchem, żyć myślą boską, wyskoczyć za obręb drobnych interessów, arytmetyki, zręcznych zabiegów, krętych spekulacyj, jakże to niepraktycznie! Cóż po poezyi, kiedy wiersz, nie dratwa, butów nim nie załatasz, bułki, chleba sonetem nie kupisz.... Praktyczność, to nagi materyalizm — poeto! zostań materyalistą, słuchaj, z któréj strony wiatr wieje; daléj, z pliką panegiryków pod pachą, idź kadzić dziennemu bożyszczu....

— Ależ jam głodny — chleba, chleba mi dajcie! —

Cóż począć! rad nie rad muszę zostać praktycznym *à la manière* głodnego ulicznika.... Widzę, tam siedzi tłusta przekupka nad stósem rumianych bułek.... Gdybym tak ściągnął jednę i drugą. — Już się przybliżam ukradkiem, już wyciągam rękę.... Stój! co robisz, ogłoszą cię złodziejem, wytoczą długi proces, dzienniki wydrukują, i Klara dowié się z dzienników o twojéj hańbie....

— Ach! Klara — przeklęłaby moją pamięć, piosenek moich i listów nie skrapiałaby łzami, i miałaby pracę co dzień wyrywać z serca szczątki dawnéj miłości, ust oduczać imienia mojego....

Przekleństwo wam sępy w ludzkiém ciele! jeżeli kiedykolwiek z prochu czoło podniosę, a z nędzy się otrząsnę, zemstą rozsławię się między wami. — Dzisiaj brzęczcie i ujadajcie nademną, jak drobne owady w grzywie lwa puszczy....

...I ty poeto, i ty szukałbyś zemsty na muszkach, konikach, mrówkach?... Wstyd mię, nie wierzcie uniesieniu — ja wam dobrocią odpłacę. — Oto zemsta poety... wszystko wam oddam — nawet biedne serce moje....

. . . .

L. S.

O właściwości metody Pestalocego.

Już dawniéj skreśliłem obraz życia i czynności Pestalocego, pomówmy teraz o jego metodzie.

Za niezmienną podstawę kształcenia ludzi uważał Pestalocy domowe życie, daléj rozum i siłę, które się w niém rozwijają. Był on święcie przekonany, że z niego wszelka prawda i całe błogosławieństwo oświaty ludowéj wypływa. Zasada ta była zarodem i środkiem jego metody.

Pierwsze stadium jego metody było proste. Daléj uważa ideę metody za całość, w któréj biegun objektywny zostaje w połączeniu ze subjektywnym. Jakkolwiek w objektywnym względzie nie znał jeszcze środków do urzeczywistnienia swojéj metody, to przecież potęga téjże zupełnie nim rządziła. — Tém wznioślejszą i silniejszą pojawiała się jego metoda w subjektywnym względzie. Niezmierna i boska jego miłość wszystko przyciągała i potęgą swą tak kształciła, że każde dziecko łatwo pojmowało i umysł swój rozwijało. Miłością przyzwyczajał swą surową i dziką gromadkę do prawnego porządku i łagodnych obyczaji, wzniecał w nieprzyzwyczajonych do nauki i roztargnionych dzieciach uwagę i udział, a w obojętnych i ospałych chęć i zapał. Ani książka, ani ćwiczenia elementarne, lecz siła żywotna, którą był rozgrzany, kształciła życie dzieci; duch, który z jego ócz i ust wytryskał, obudzał ich uśpionego ducha; poświęcenie i sumienność w pielęgnowaniu dzieci obudzały ich obojętne serce i sposobiły do ofiar, z przezwyciężania się wynikających. Jedynie duch jego ojcowski i sumienność macierzyńska były metodą. Chociaż im nie wiele prawił o moralności, przecież przyzwyczajanie się do czynów moralnych i potęga jego przykładu, rozwinęły ich siły moralne, a modlitwa z głębi jego uczucia wypływająca, którą z dziećmi odmawiał, więcéj ich serca z Bogiem łączyła, niż wszystkie nauki o własnościach Twórcy. Jedynie nad tém rozmyślał i do tego zmierzał, aby błogosławieństwo spływające z zakątka domowego przenieść do szkoły, aby duchem silnego wpływu, który z domowego pożycia wynika, natchnąć publiczny instytut. Na coraz innych drogach, bez względu na trudy i przeciwieństwa, zdążał do tego, aby w dziele wychowania naturę ze sztuką ściśle połączyć. Zawczasu zwracał on swoję uwagę na rozwijanie się wewnętrznéj natury ludzkiéj, a szczególniéj śledził i uważał wszystkie kroki matek w rozwijaniu téjże, w uchylaniu szkodliwego wpływu i we wyszukiwaniu pożywnych pokarmów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

№178.

Zarembów pod Żychlinem.

Da we świecie ja był da i był da na siwym koniu da koniu Da zalecał ja się za-le-cał Da sam niewiem komu da komu niewiem da komu

Text do *Nru. 178.*

Da we świecie ja był, da i był,
Da na siwym koniu da koniu,
Da zalecał ja się zalecał,
Da sam nie wiem da komu, nie wiem da komu.

Da zalecał ja się zalecał,
Da Łęczycaneczce, mój Boże!
Da przepiłem ci cztery wołki,
Da na gorzałeczce, mój Boże; dana, mój Boże.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)